

ANATOL FRANCE

Nagroda Nobla



WYSPA
PINGWINÓW

Anatol France

WYSPA PINGWINÓW

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-29-0

Grafika na okładce pochodzi z francuskiej archiwalnej kartki pocztowej wydanej prawdopodobnie w początkach XX wieku

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Tłumaczenie: Jan Sten

SPIS RZECZY

[Przedmowa](#)

[Księga pierwsza. DZIEJE PIERWOTNE](#)

[Księga druga. CZASY STAROŻYTNE](#)

[Księga trzecia. WIEKI ŚREDNIE I ODRODZENIE](#)

[Księga czwarta. CZASY NOWOŻYTNE – Trinco](#)

[Księga piąta. CZASY NOWOŻYTNE – Chatillon](#)

[Księga szósta. CZASY NOWOŻYTNE – Sprawa osiemdziesięciu tysięcy wiązek siana](#)

[Księga siódma. CZASY NOWOŻYTNE – Pani Cérés](#)

[Księga ósma. CZASY PRZYSZŁE – Historia bez końca](#)

Przedmowa

Mimo pozornej różnorodności nęcących mnie zajęć życie moje ma jeden tylko cel. Chcę urzeczywistnić wielki zamysł. Piszę dzieje Pingwinów. Pracuję nad tym wytrwale, nie zrażając się częstymi trudnościami, które niekiedy zdają się po prostu niezwalczone.

Kopałem ziemię, by z niej odgrzebać pomniki tego narodu. Pierwszymi księgami ludzi były kamienie. Badałem kamienie, które uważać można za pierwotne kroniki Pingwinów. Przeszukałem na wybrzeżu oceanu nie tknięty jeszcze kurhan, znalazłem w nim, jak zwykle, krzemienne siekiery, spiżowe miecze, monety rzymskie i franka z wizerunkiem Ludwika Filipa I, króla Francuzów.

Dla poznania czasów historycznych wielką pomocą była mi kronika Johanneses Talpy, mnicha z klasztoru Beargarden. Tym obficie z niej czerpałem, że dla wczesnego średniowiecza nie ma innego źródła do historii Pingwinów.

Bogatsi jesteśmy poczynając od XIII wieku, bogatsi, ale nie szczęśliwsi. Bardzo trudno jest pisać historię. Nie wiadomo nigdy dokładnie, jak się rzeczy odbyły, obfitość dokumentów powiększa jeszcze zakłopotanie historyka. Jeśli fakt znany jest tylko jednemu świadkowi, przyjmuje się go bez wielkiego wahania; niepokój zaczyna się dopiero wtedy, gdy fakt przytaczany jest przez dwóch lub więcej świadków; bo świadectwa ich są zawsze sprzeczne i pogodzić się nie dadzą.

Bez wątpienia względy naukowe, by jednemu świadectwu dać pierwszeństwo nad drugim, są niekiedy bardzo silne. Nigdy jednak nie są silne o tyle, by przeważały nad naszymi namiętnościami, przesadami, interesami, by zwalczyły tę lekkomyślność wspólną wszystkim poważnym ludziom. Bezustannie więc przedstawiamy fakty w sposób stroniczy lub płochy.

Zwierzyłem się kilku uczonym archeologom i paleografom, rodakom i obcym, z trudności, jakich doświadczam pisząc historię Pingwinów. Naraziłem się na ich wzgardę. Patrzyli na mnie z uśmiechem politowania, który zdawał się mówić: „Czyż my piszemy historię? Czyż z tekstu, z dokumentu staramy się wyciągnąć choćby najmniejszą cząsteczkę życia lub prawdy? Po prostu wydajemy teksty. Trzymamy się ich litery. Litera tylko jest ścisła i daje się ocenić. Treść nie jest ścisła; idee są fantazjami. Trzeba być bardzo próżnym, by pisać historię; trzeba mieć bogatą wyobraźnię”.

Wszystko to mieściło się w spojrzeniu i uśmiechu naszych mistrzów w paleografii i rozmowa z nimi głęboko mnie zniechęciła. Pewnego dnia, gdy po rozmowie ze znamienitym sygilografem byłem jeszcze bardziej zgnębiony, przyszła mi taka myśl do głowy: „Jednak są przecież jeszcze historycy; ród ich nie wyginął doszczętnie. Jest ich pięciu czy sześciu w Akademii Nauk Moralnych. Nie wydają oni tekstów; piszą historię. Ci nie powiedzą mi, że trzeba być bardzo próżnym, aby poświęcać się tego rodzaju pracy”.

Myśl ta dodała mi otuchy.

Nazajutrz (jak mówią, a na za jutro, jakby powiedzieć należało) stanąłem przed obliczem jednego z nich, przebiegłego starca.

– Przychodzę, panie – rzekłem doń – zasięgnąć rady doświadczenia pańskiego. Męcę się okropnie pisaniem historii i do żadnych nie dochodzę wyników.

Odpowiedział mi wzruszając ramionami:

– Po co się tak męczyć, zacny panie, i po co pisać historię, kiedy wystarczy przepisać najbardziej znane dzieła, jak to jest w zwyczaju? Jeśli pan ma nowe zapatrywania, ideę oryginalną, jeśli przedstawi pan fakt i ludzi w nowej postaci, zadziwi to tylko czytelnika. A czytelnik nie lubi, by go zadziwiać. W historii szuka on tylko starych bredni, które już zna. Jeśli spróbujesz nauczać go, rozniewasz go tylko i upokorzysz. Nie próbuj go oświecać. Wołać będzie wielkim głosem, że ubliżasz jego wierzeniom.

Historycy kopiują jeden drugiego. W ten sposób oszczędzają sobie pracy i unikają zarzutu zuchwałej zarozumiałości. Naśladuj ich i nie bądź oryginalny. Historyk oryginalny jest przedmiotem nieufności, wzgardy i ogólnej niechęci.

Czy pan sądzi – dodał – że byłbym tak ceniony i szanowany, jak jestem, gdybym do moich dzieł historycznych wprowadził coś nowego? I czymże są nowinki? Impertynencją.

Wstał. Podziękowałem mu za uprzejmość i zmierzałem ku drzwiom; odwołał mnie:

– Jeszcze słówko. Jeśli pan chce, aby książka jego była dobrze przyjęta, proszę przy każdej okazji wysławiać cnoty, na których wspierają się społeczeństwa: poświęcenie dla bogactwa, pobożne uczucia, a specjalnie rezygnację ubogich, która jest podstawą ładu. Zapewnij pan, że prawa własności, szlachectwa, żandarmskiej przewagi traktowane będą w tym dziele z całym szacunkiem należnym tym instytucjom. Daj do zrozumienia, że gdy się zdarzy, uwierzysz w istnienie potęg nadprzyrodzonych. Pod tym warunkiem możesz liczyć na powodzenie wśród ludzi z towarzystwa.

Rozmyślałem nad tymi rozumnymi spostrzeżeniami i wziąłem je pod uwagę.

Nie mam potrzeby zajmować się pingwinami przed ich metamorfozą. Należą do mnie od tej chwili dopiero, gdy występują z zoologii, by wstąpić do historii i teologii. Są to te same pingwiny, które wielki święty Maël przemienił w ludzi. Trzeba jednak to wytłumaczyć, bo obecnie nazwa ta może być powodem do zamieszania.

Nazywamy pingwinami ptaki strefy podbiegunowej północnej z rodziny zimorodków; nazywamy bezlotkami typ zamieszkujący morza południowe. Czyni tak na przykład pan G. Lecoq w swoim opisie podróży okrętu „Belgica”. „Ze wszystkich ptaków zamieszkujących Cieśninę Gerlache’a – mówi on – bezlotki są niezaprzeczenie najciekawsze. Niekiedy mylnie zowią je pingwinami południa”. Doktor J. B. Charcot utrzymuje przeciwnie, że prawdziwymi i jedynymi pingwinami są te ptaki z okolic bieguna południowego, które zwiemy bezlotkami, i na poparcie swego twierdzenia przytacza, że Holendrzy w 1598 roku, dotarłszy do Przylądka Magellana, dali im nazwę pinguinos, zapewne z powodu ich tłuszczu. Ale jeśli bezlotki zowią się pingwinami, jakże teraz zwać się będą pingwiny? Doktor J. B. Charcot w swym „Pamiętniku z francuskiej wyprawy do bieguna południowego” nie mówi nam tego i zdaje się zupełnie tym nie kłopotać.

A zatem zgodzić się trzeba, by jego bezlotki pozostały lub zostały pingwinami. Odkrył je, więc ma prawo obdarzyć je nazwą. Niechże jednak pozwoли pingwinom, północy pozostać pingwinami. Będą więc istnieć pingwiny południowe i pingwiny północne, antarktyczne i arktyczne, zimorodki, czyli dawne pingwiny, i dawne bezlotki. Wprowadzi to może w kłopot ornitologów pragnących opisać i sklasyfikować ptactwo pletwonogie; zapytają się niewątpliwie, czy istotnie należy jednym mianem określać dwie rodziny zamieszkujące dwa przeciwległe bieguny i różniące się pod wielu względami, mianowicie dziobem, łapkami. Co do mnie, bardzo dobrze zadowalam się tym pomieszaniem pojęć. Jakiegokolwiek byłyby różnice między moimi pingwinami a pingwinami J. B. Charcota, podobieństwa ich są głębsze i liczniejsze. Te i tamte odznaczają się wyglądem poważnym i spokojnym, komiczną godnością, poufałością, zartobliwą dobroduszością, ruchami niezgrabnymi i uroczystymi zarazem. Jedne i drugie są pokojowo usposobione, wymowne, chciwe widowisk, zajęte sprawami publicznymi i, być może, trochę zazdrosne o swoją przewagę.

Moi Hiperborejczycy mają co prawda skrzydła pokryte nie łuską, lecz twardym pierzem; chociaż nogi ich nie są tak osadzone ku tyłowi jak nogi południowców, chodzą jednak tak samo z piersią wystawioną naprzód, z głową podniesioną, kołysząc ciałem w równie godny sposób. Dziób ich (os sublime) nie miało przyczynia się do omyłki, w którą popadł apostoł biorąc ich za ludzi.

Praca niniejsza należy, wyznać to muszę, do rodzaju dawnej historii, która przedstawia ciąg faktów zapamiętanych i która, o ile to możliwe, przytacza przyczyny i skutki; jest to

raczej sztuka niż wiedza. Utrzymują, że ten sposób pisania historii nie zadowala już umysłów ścisłych i że starożytna Klio uchodzi dziś za plotkarkę opowiadającą brednie. Może powstanie kiedyś w przyszłości historia ściślejsza, historia warunków życia, ucząca nas, co każdy naród w każdej epoce wytworzył i zużył na wszystkich polach swej działalności. Historia taka nie będzie już sztuką, lecz wiedzą, i cechować ją będzie ścisłość, której brak dawnej historii. Ale żeby powstać mogła, potrzeba jej będzie mnóstwa statystyk, których dotąd brak wszystkim ludom, a szczególnie Pingwinom. Nowoczesne narody dostarczą kiedyś, być może, elementów takiej historii. Co się tyczy ludzkości minionej, obawiam się, że zawsze trzeba będzie zadowalać się opowiadaniem na sposób dawny. Los takiego opowiadania zawisł od przenikliwości i dobrej wiary opowiadającego.

Jak powiedział pewien wielki pisarz z Alca, życie narodu utkane jest ze zbrodni, nędz i szaleństw. Z Pingwinami działo się to samo, co i z innymi narodami; jednak historia ich ma kilka prześlicznych momentów, które, jak sądzę, udało mi się trafnie przedstawić.

Pingwini byli długo narodem wojowniczym. Jeden z ich ziomków, Jacquot-filozof, opisał charakter Pingwinów w małym obrazku rodzajowym, który tu przytaczam i który bez wątpienia będzie mile widziany.

„Mędrzec Gracjan przebiegał Pingwinie za czasów ostatnich Drakonidów. Pewnego dnia, gdy przechodził zaciszną doliną, gdzie w czystym powietrzu dźwięczały srebrzyste dzwonki zawieszane na szyjach pasących się krów, zmęczony siadł na ławce u stóp rozłożystego dębu rosnącego koło chaty. Na progu niewiasta karmiła dziecię; młody chłopak igrał z dużym psem; niewidomy starzec, siedząc w słońcu, otwartymi ustami zdawał się spijać jasność dzienną.

Gospodarz domu, człowiek młody i dziarski, ofiarował Gracjanowi chleb i mleko.

Filozof marsuański spożywszy ten sielski posiłek rzekł:

– Mili mieszkańcy miłego kraju, serdeczne składam wam dzięki. Wszystko tehnie tu radością, zgodą i pokojem.

Gdy tak mówił, przeszedł mimo niego pasterz wygrywający marsza na swojej kobzie.

– Co to za skoczna melodia? – zapytał Gracjan.

– To hymn wojenny przeciw Marsuanom – odrzekł wieśniak. – Wszyscy go tu śpiewają. Małe dzieci umieją go, zanim nauczą się mówić. Jesteśmy wszyscy dobrymi Pingwinami.

– Nie lubicie Marsuanów?

– Nienawidzimy ich!

– Dlaczegoż ich nienawidzicie?

– Pytasz o to? Czyż Marsuanie nie są sąsiadami Pingwinów?

– Bez wątpienia.

– No więc dlatego Pingwini nienawidzą Marsuanów.

– Czyż jest to dostateczna przyczyna?

– Oczywiście. Kto mówi: sąsiad, mówi: nieprzyjaciel. Patrz na pole, które dotyka mego pola. Jest to pole człowieka, którego najwięcej na świecie nienawidzę. Po nim największymi moimi wrogami są mieszkańcy wioski rozłożonej na przeciwległym zbocz doliny, u stóp tego brzozowego lasku. W wąskiej tej dolinie, ze wszech stron zamkniętej, jest tylko ich wioska i nasza: są sobie wrogie. Ilekroć nasi parobcy spotykają tych z przeciwka, wymyślają sobie i biją się. I chcesz, aby Pingwini nie byli wrogami Marsuanów? Nie wiesz zatem, co to patriotyzm? Dwa tylko okrzyki wyrywają się z mych piersi: „Niech żyją Pingwini! Śmierć Marsuanom!”

Przez trzynaście wieków Pingwini prowadzili wojny ze wszystkimi narodami świata z nie słabnącym zapałem i różnym szczęściem. Potem w kilka lat zniechęcili się do tego, co tak długo lubili, upodobali sobie pokój, co wyrażali z godnością bez wątpienia, ale jak najszczerczej. Generałowie ich bardzo dobrze przyjęli ten nowy kaprys; cała armia,

oficerowie, podoficerowie, żołnierze, rekruci, weterani z przyjemnością stosowali się do tego, żaliły się nań tylko gryziopórki i szczury biblioteczne, a beznogie kaleki były niepokieszone.

Tenże sam Jacquot-filozof napisał opowieść moralną, w której w komiczny i dobitny sposób przedstawił różne czyny ludzkie i dorzucił do nich niektóre rysy historii własnego kraju. Gdy go pytano, w jakim celu napisał tak przekreconą historię i jaką według niego korzyść osiągnie z tego ojczyzna, odpowiedział:

– Bardzo wielką. Gdy ujrzą czyny swoje przekrecone i odarte ze wszystkiego, co im pochlebiało, Pingwini lepiej je osądzą i może staną się mądrzejszymi.

Chciałbym w tej historii nie zaniedbać niczego, co by mogło zainteresować artystów. Znajdzie się w niej rozdział o malarstwie pingwińskim w wiekach średnich, a jeśli rozdział ten jest mniej kompletny, niżbym pragnął, nie moja w tym wina, jak o tym można się przekonać czytając pełne grozy opowiadanie, którym kończę tę przedmowę.

W czerwcu roku zeszłego przyszło mi na myśl, żeby zasięgnąć opinii pana Fulgencjusza Tapira, uczonego autora „Powszechnych roczników malarstwa, rzeźby i architektury”, co do pochodzenia i postępu sztuki pingwińskiej.

Wprowadzony do jego gabinetu, ujrzałem przy biurku za olbrzymim stosem papierów małego człowieka, nieprawdopodobnego krótkowidza, mrużącego oczy za szklami w złotej oprawie.

Żeby wynagrodzić wadę oczu, nos jego wydłużony, ruchomy, obdarzony znakomitym zmysłem dotyku, badał świat zewnętrzny. Organem tym Fulgencjusz Tapir utrzymywał łączność ze sztuką i pięknem. Zauważono, że we Francji krytycy muzyczni najczęściej są głusi, a krytycy w dziedzinie sztuk plastycznych ślepi. To pozwala im skupić się, co tak potrzebne jest dla zrozumienia zasad estetyki. Czy sądzicie, że ze wzrokiem zdolnym objąć kształty i barwy, jakimi przyobleka się tajemnicza przyroda, Fulgencjusz Tapir wzniosłby się poprzez górę drukowanych dokumentów i rękopisów aż na szczyt doktrynerskiego spirytualizmu i powziąłby tę potężną teorię, która sztukę wszystkich krajów i wszystkich epok sprowadza do Instytutu Francuskiego, jej końca ostatecznego?

Ściany gabinetu, podłoga, nawet sufit dźwigały napęczniałe stosy, pudła niemożliwie wypchane, skrzynki, w których mieściły się niezliczone kartki. Z trwożnym zachwytem patrzyłem na te katarakty erudycji, gotowe zerwać tamy.

– Mistrzu – rzekłem wzruszonym głosem – udaję się do twej życzliwości i wiedzy, obu jednakowo niezgłębionych. Czy nie zechciałbyś pomóc mi w moich żmudnych poszukiwaniach źródeł sztuki pingwińskiej?

– Panie – odrzekł mistrz – mam całą sztukę, rozumie pan, całą sztukę sklasyfikowaną na kartkach alfabetycznie i według przedmiotu. Uważam za swój obowiązek oddać do twego rozporządzenia wszystko, co odnosi się do Pingwinów. Wejdz na tę drabinę i wyciągnij pudełko, które widzisz tam w górze. Znajdziesz w nim wszystko, co ci będzie potrzebne.

Usłuchałem z drżeniem. Ale zaledwie dotknąłem fatalnego pudełka, niebieskie kartki wysuwające się z mych palców zaczęły płynąć potokiem. Prawie natychmiast otwały się za ich przykładem sąsiednie pudełka i wypłynęły z nich strumienie kartek różowych, białych, zielonych; różnokolorowe kartki jedne za drugimi wymknęły się ze wszystkich pudełek z szumem podobnym do wiosennego szumu potoków górskich. W jednej chwili pokryły podłogę grubą warstwą papieru. Tryskając z niewyczerpanych zbiorników z szumem coraz silniejszym, ciągle przyśpieszały swój rwący bieg. Do kolan zatopiony w nich Fulgencjusz Tapir uważnym nosem obserwował ten kataklizm; rozpoznał jego przyczynę i zbladł z przerażenia.

– Ileż tu sztuki! – wykrzyknął.

Zawołałem go, pochyliłem się, by mu pomóc wejść na drabinę uginającą się pod ulewą. Było już za późno. Zgnębiony, zrozpaczony, litości godny, bez aksamitnej czapeczki i

złotych okularów, które zgubił, nadaremnie swymi krótkimi rękami stawiał opór falam dochodzącym mu do ramion. Nagle uniosła się straszliwa trąba kartek i spowiła go w olbrzymi wir. Przez sekundę widziałem w otchłani wypolerowaną czaszkę i pulchne rączki uczonego, potem otchłań zamknęła się i potop rozlał się w ciszy bezruchu. W obawie, że pochłonie i mnie wraz z moją drabiną, uciekłem przez najwyższą szybę okna.

Quiberon, 1 września 1907 roku

Księga pierwsza. DZIEJE PIERWOTNE

Rozdział 1. Żywot świętego Maëla

Maël, syn królewskiej rodziny kambryjskiej, w dziewiątym roku życia oddany został do klasztoru w Yvern, by kształcić się w literaturze duchownej i świeckiej. Mając lat czternaście zrzekł się dziedzictwa swego i poświęcił służbie bożej. Czas swój według reguły zakonnej dzielił na śpiewanie hymnów, naukę gramatyki i rozważanie prawd wiekuistych.

Niebiańska woń zdradziła przed braćmi cnoty tego zakonnika i gdy błogosławiony Gal, przeor Yvern, przeniósł się do wieczności, młody Maël objął po nim zarząd klasztoru. Założył przy nim szkołę, szpital, gospodę dla przyjezdnych, kuźnię, rozliczne pracownie, warsztat dla budowy okrętów i nakazał zakonnikom karczowanie gruntów okolicznych. Własnymi rękami uprawiał ogród klasztorny, urabiał metale, uczył nowicjuszy; życie jego płynęło spokojnie jak rzeka, która odbija w sobie niebo i użyźnia pola.

O zmierzchu ten sługa boży zwykł był siadać na skale w miejscu, które dziś jeszcze zowią „krzesłem świętego Maëla”. U stóp jego skały podwodne na kształt czarnych smoków, obrosłe zielonymi wodorostami i płową trawą morską, przeciwstawiały pianie fal potworne swe bary. Patrzył, jak słońce stacza się do oceanu i niby czerwona hostia szlachetną krwią swoją zabarwia purpurowo obłoki i szczyty fal. Święty mąż widział w tym obraz tajemnicy Krzyża, za sprawą którego boska krew odziała ziemię królewską purpurą. W oddali ciemnobłękitna linia znaczyła brzegi wyspy Gad, gdzie święta Brygida, która przyjęła śluby zakonne, zarządzała klasztorem kobiecym.

Brygida, powiadomiona o zasługach czcigodnego Maëla, jako o dar najdroższy prosić go kazała o jakiś przedmiot, dzieło rąk jego własnych. Maël ułał dla niej dzwoneczek ze spiżu, poświęcił go i rzucił do morza. Dzwoneczek ciągle dzwoniąc przyplłynął do wybrzeża Gad, gdzie święta Brygida, uprzedzona dźwiękiem spiżu wśród fal, przyjęła go pobożnie i w otoczeniu swych dziewic, w uroczystej procesji, przy śpiewie psalmów wniosła do kaplicy klasztornej.

Tak święty mąż Maël kroczył od cnoty do cnoty. Przebiegł już dwie trzecie drogi życia i spodziewał się dojść spokojnie do ziemskiego kresu w otoczeniu braci duchownych, lecz po nieomylnym znaku poznał, że inne są wyroki mądrości bożej i że Pan przeznacza go do prac mniej cichych, lecz nie mniej zasług i chwały godnych.

Rozdział 2. Powołanie apostołskie świętego Maëla

Pewnego dnia, gdy medytując szedł wzdłuż cichej zatoki, której skały, daleko wysunięte w morze, tworzyły naturalną tamę, ujrzał kamienne koryto na kształt czółna płynące po wodach.

W podobnym naczyniu święty Guirec, wielki święty Colomban i tylu innych mnichów ze Szkocji i Irlandii udawało się, by nawracać Armorykę. Nie tak dawno jeszcze święta Avoye, przybyła z Anglii, płynęła w górę rzeki Auray w moździerz z różowego granitu, w który potem kłaść będą dzieci, aby je uczynić silnymi; święty Vouga odbył drogę z Hibernii do Cornouailles na skale, której odłamki zachowane w Penmarch leczyć będą z gorączki pielgrzymów składających na nich głowę; święty Samson w zatoce rozciągającej się u stóp góry Saint-Michel wylądował w granitowej kadzi, która kiedyś zwać się będzie miską świętego Samsona. Toteż na widok kamiennego koryta święty mąż Maël zrozumiał, że Pan przeznacza go do nawrócenia pogan zaludniających jeszcze wybrzeża i wyspy Bretanii.

Oddał swą grabową laskę świętobliwemu mężowi Budokowi, przez co zdawał mu zarząd nad klasztorem, i zabrawszy bochenek chleba, beczkę wody słodkiej i święte ewangelie wsiadł do kamiennego koryta i spokojnie dotarł do wyspy Hoedic.

Wyspę tę bezustannie smagają wichry. Ubodzy jej mieszkańcy łowią ryby wśród szczelin skał i z trudem uprawiają warzywa w ogrodach pełnych piasku i żwiru, chronionych kamiennymi murami lub płotami z tamaryszku. Piękne drzewo figowe rośnie w głębi wyspy i daleko rozpościerało gałęzie. Mieszkańcy wyspy czcili to drzewo.

Świętobliwy mąż Maël rzekł do nich:

– Czcią i uwielbieniem otaczacie to drzewo dlatego, że jest piękne. Zatem jesteście wrażliwi na piękno. Ja przychodzę objawić wam piękno ukryte.

I nauczał ich ewangelii. A nauczywszy ich, ochrzcił solą i wodą.

Wyspy Morbihanu były w owych czasach liczniejsze niż obecnie, bo odtąd wiele z nich pochłonęło morze. Święty Maël nawrócił sześćdziesiąt wysp. Potem w granitowym swym korycie popłynął w górę rzeki Auray i wylądował przed rzymskim domem; z dachu domu tego wznosił się lekki dym. Świętobliwy mąż przekroczył próg, na którym w mozaice wyobrażony był pies o wyprężonych łapach, z odwiniętą wargą. Przyjęty został przez dwoje małżonków-staruszków; Marcus Combabus i Valeria Moerens żyli tu uprawiając ziemię. Podwórce wewnętrzne otaczał portyk, którego kolumny do połowy wysokości były malowane na czerwono. Fontanna z muszli przytykała do jednej ze ścian, pod portykiem wznosił się ołtarz z niszą, w której gospodarz domu ustawił małe gliniane bożyszczka, bielone wapnem. Jedne wyobrażały skrzydlate dzieci, inne Apollona lub Merkurego, jeszcze inne – nagą kobietę skręcającą włosy. Świętobliwy mąż Maël przyglądając się tym bożyszczom spostrzegł między nimi wyobrażenie młodej matki, trzymającej dziecię na kolanach.

Ukazując na ten posążek rzekł:

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI